

Piotr Zaccone

# Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

10

– To dobrze, ale, pani Bruchon, raz jeszcze proszę, czuwać trzeba bezustannie i dać mi znać natychmiast, jeżeli pani spostrzeże coś podejrzanego.

– Może pan liczyć na mnie.

– Gdyby zaszła potrzeba, o jakiegokolwiek porze dnia, czy nocy, powiadomić mnie pani musi. Pani wie, gdzie mieszkam?

– Wiem, proszę pana, ale niech pan będzie spokojny... W razie czego, poszlę męża, on się z tem prędko załatwi.

Zapanowało krótkie milczenie, pułkownik widocznie zastanawiał się nad czemś głęboko.

– No, tak – rzekł po chwili – rzecz już postanowiona, a teraz pomówimy o czem innym. Pani wspominała o mężu, czy to pewny człowiek?

– Oh! Proszę pana.

– Czy jest pani zadowolona z niego?

– Zadowolona? Mój Boże. Czyż można być zawsze zadowoloną, kiedy się prowadzi handel w trudnych bardzo warunkach i co kwartał dręczyć się trzeba zebraniem potrzebnej kwoty na opłacenie lokalu.

– Ma pani słuszość.

– Gdyby to człowiek miał chociaż jakieś pewne dochody... coś zabezpieczonego na stare lata – westchnęła żałośnie stara modniarka, patrząc z pod oka na swojego gościa.

– Czy tyle tylko brakuje pani do szczęścia?

– Oh! Mój drogi panie. Jest to marzenie wszystkich moich dni! – zawołała pani Bruchon, wznosząc oczy ku niebu.

Wyraz skupionej uwagi osiadł na twarzy pułkownika.

– Wie pani co, zaczynam się szczerze interesować waszym losem i chętnie uczyniłbym coś, aby zapewnić pani spokojną przyszłość.

– Czy to możliwe, mój panie! – westchnęła stara, patrząc podejrzliwie na pułkownika.

– Cóżby pani powiedziała o człowieku, który postawiłby panią w takiej sytuacji, iżby wszelkie opłaty lokalu i inne zobowiązania stały się już niepotrzebne?...

– Powiedziałabym, że Opatrzność zesłała mi go – wymówiła z gorącym przekonaniem stara – i wdzięczną mu byłabym do końca życia.

– A coby pani dla niego uczyniła? – badał dalej pułkownik Robert.

– Wszystko! Wszystko, coby tylko zażądał odemnie. Będzie mógł rozporządzać mną, jak swoją rzeczą!

– Tego mi właśnie potrzeba. – wyrzekł poważnie pułkownik – A więc proszę mnie słuchać uważnie, pani Bruchon. Jeżeli pani zechce, przed upływem miesiąca ten dom, zamieszkały przez was, stać się może własnością pani – a oprócz tego gotów jestem wyznaczyć małą rentę, która pozwoli pani i jej mężowi żyć nadal bez troski.

Pani Bruchon przetarła oczy kilkakrotnie, jak gdyby zbudzona ze snu, w którego rzeczywistość uwierzyć nie mogła.

– Nie! Nie! To niemożliwe! – szepnęła – toby było za piękne, nieprawdopodobne!

– A jednak stanie się rzeczywistością, jak tylko pani zechce – nalegał pułkownik. – To zależy jedynie od dobrej woli pani!

– Więc coż mam uczynić? – zapytała modniarka, patrząc ze zdumieniem na pułkownika.

– Prawie nic... tylko, ostrzegam, będzie pani musiała użyć do pomocy swojego męża.

– Mojego męża? – powtórzyła z przestraszeniem kobieta.

– Tak. Dlaczego ta myśl zdaje się nie podobać pani?

Odcień rozpaczliwego żalu i rozczarowania przeszedł po okrągłej twarzy modniarki.

– Zdaje się, że wobec tego będę zmuszona pożegnać się z nadziejami moimi. – wyrzekła boleśnie – Mój mąż! Otóż tu leży cała przeszkoda.

– Dlaczego?

– On, panie, jest bardzo uczciwym człowiekiem – odparła z żalem stara – i wiem, że nie zechce się mieszać w rzecz, choćby trochę podejrzaną.

– Sądzi pani, że odmówi?

– Lękam się o to.

Pułkownik uśmiechnął się niedbale i postąpił ku drzwiom.

– Żałuję bardzo wobec tego, że nie dojdziemy do porozumienia. – odparł zimno – Podaję pani sposobność do nagłego wzbogacenia się, a nie żądam wzamian, abyście zamordowali lub okradli kogo.

– Ale o cóż właściwie chodzi, mój panie? – szepnęła pani Bruchon, podchodząc bliżej do pułkownika, w zamiarze zatrzymania go, gdyby objawił chęć odejścia.

– Poco mam mówić, skoro odmawiacie mi, nie oglądając się na przyszłość?

– Niech pan mówi, zobaczymy jeszcze.

– Nie... pozostawmy to już... może się namyślicie. Jedno tylko. Zdaje mi się, że Bruchon zajęty jest jako woźny i dozorca w biurach ministerstwa marynarki?

– Tak jest.

– I jemu to powierzają odbiór depesz z poczty na ulicy Rousseau, nieprawdaż?

– Tak! Zdaje mi się, że należy to do niego. – odpowiedziała pani Bruchon, nie rozumiejąc jeszcze, do czego zmierza pułkownik.

– To dobrze. Mówiono mi już o tem. Ale skończmy już tę rozmowę. Odchodzę i nie mogę pani powiedzieć, kiedy powrócę. Ale proszę pamiętać o wszystkich moich zleceniach. Niech pani czuwa nad Gilbertą, a co do tej propozycji, którą uczyniłem przed chwilą, to, jeżeli się pani namyśli jeszcze i zechce ze mną porozumieć, to pani wie, gdzie mnie szukać.

Mówiąc to, pułkownik wyszedł spiesźnie, pozostawiając panią Bruchon tak zgnębioną i wzruszoną, iż nie była w stanie pożegnać go nawet. Z ciężkim westchnieniem, nie czekając nawet, aby zamknęły się za gościem drzwi, opadła bezwładnie na krzesło i pogrążyła się w myślach.

Podobna propozycja zasługiwała rzeczywiście na głębokie zastanowienie. Pani Bruchon nie należała do tych kobiet, któreby takiej okoliczności wykorzystać nie chciały. Odejście pułkownika, bez ostatecznego porozumienia się z nią w tym kierunku, nie uważała za rzecz decydującą jeszcze i postanowiła powrócić jeszcze do tej wiele obiecującej rozmowy.

## XIII.

Nareszcie nadszedł dzień oczekiwany w naświetleniu przez Olivie i zaproszonych gości pułkownika Roberta.

Była to sobota i był to dzień, wybrany przez niego, do otwarcia salonów swoich w willi, znajdującej się przy polach Elizejskich. Tak, jak to słusznie przewidywała młoda kobieta, dobijano się powszechnie o zaproszenia na ten wieczór, o którym już od pewnego czasu mówił cały Paryż.

W tem entuzjastycznym pragnieniu nalenia do gości pułkownika Roberta, mieściło się wiele przyczyn, zrozumiałych dla tych, którzy znają publiczność tego wielkiego miasta, żadną zawsze sensacji nowości.

Pułkownik od dwóch miesięcy zaledwie dał się tu poznać, i to jeszcze niedostatecznie, aby zaspokoić ogólną ciekawość. Krążyły przytem przeróżne wieści o tym podróżniku egzotycznym, przybywającym do Francji z kolosalnym, jak twierdzili niektórzy, majątkiem. Zresztą i powierchowność jego budziła uwagę i sympatię, szczególnie w sferze kobiet, zachwycających się oryginalnością jego ciemnej cery i blaskiem niezwykłym oczu, o surowym, poważnym wyrazie.

Olivie i baron d'Esclairs na kilka dni jeszcze przed tym wieczorem obsaczeni byli poprostu znajomymi, którzy pragnęli być wprowadzeni na salony pułkownika Roberta.

W tym tłumie, dobijającym się o tę rozrywkę, przeważały kobiety, znane w świecie paryskim z ekscentryczności i lekkomyślności, ale były i panie z lepszego świata, zwabione tu własną ciekawością i pragnieniem ujżenia tego, czego, jak im się zdawało, Paryż jeszcze nie miał sposobności oglądać.

Około godziny dziewiętej goście tłumnie nadjeżdżać zaczęli.

Noc była pogodna i ciepła. Wielkie, kolorowe lampy elektryczne oświetlały ulicę prowadzącą do willi, ogród cały gorzał przepychem światła, a w głębi, na tle ciemnym drzew, odcinała się wspaniała willa, również rześkie oświetlona.

W godzinę niespełna salony zostały szczelnie wypełnione. Po całej willi przewijał się tłum

elegancki i rozbawiony i w pokojach parterowych, bogato ozdobionych wschodnimi makatami i na pierwszym piętrze, gdzie mieścił się główny, olbrzymi salon recepcyjny i w ogrodzie, gdzie wspaniałe, egzotyczne altany, przybrane najcudniejszymi kwiatami, zapraszały gości do spoczynku, lub odosobnionej rozmowy.

Olivie od pierwszej chwili stała się królową zabawy.

Przyjęła chętnie na siebie rolę gospodyni domu, wywiązując się z niej z wdziękiem czarującym, który w tem otoczeniu mógł uchodzić za wrodzoną dystynkcję i znajomość form towarzyskich. Umiała przytem jeszcze wybrać na ten wieczór toaletę skromną a gustowną, która podnosiła jej wspaniałą urodę i harmonijne linie smukłej figury.

Pełny sukces tej zabawy był poniekąd jej dziełem. Promieniejącą zadowoleniem i radością szła od jednych gości do drugich, z miłym uśmiechem twarzy, wydając po drodze rozkazy służbie, uwijającej się zręcznie, ubranej w ciemne liberie. Widziano ją wszędzie, zwracającą baczną uwagę na wszystko, co się wokół niej działo, jak gdyby rzeczywiście była panią tego mieszkania.

Pułkownik Robert towarzyszył jej prawie ciągle. W pewnej chwili spotkali się w dolnym buduarze, którego szklane drzwi wychodziły prosto na ogród.

Pułkownik nagłym ruchem ujął jej obydwie ręce, starając się ją przyciągnąć do siebie.

Olivie broniła się lekko, patrząc mu w oczy i uśmiechając się żałośnie.

– Ileż wdzięczności winienem pani! – szepnął gorąco – Otrzymałbym nadspodziewany wynik i przypisuję go tylko pani.

– Mnie? Może w pewnej mierze tylko, tego nie zaprzeczam, ale pan jest tym głównym magnesem, który przyciągnął tutaj tych wszystkich ludzi.

– Mniejsza zresztą o to! – zawołał pułkownik – Wiem tylko w tej chwili to jedno, że pani jest czarującą piękną, a ja dałbym wszystko, co posiadam...

– Pan staje się szalony!

– Kocham panią!

– Nie chcę słuchać słów podobnych! – wyrzekła Olivie, siłąc się na surowość.

– Niech pani nie będzie okrutną!

– Jeżeli pan nie przestanie, to odchodzę w tej chwili. Może nas kto usłyszeć! – dodała, obejmując go wyzywającym spojrzeniem – Baron może zaraz powrócić!

Pułkownik lekceważąco wzruszył ramionami.

– Baron?! – odparł ironicznie – Naprawdę, pani jest zanadto dobrą! Cóż on robi obecnie? Gdzie jest, kiedy wszystkie jego myśli powinny być tylko zwrócone do pani!

Olivie przyłożyła palec do ust, nakazując mu milczenie.

– Nie mówmy tego tak lekko! – rzekła poważnie – Baron zajmuje się obecnie czemś ważniejszym i nie może myśleć o mnie.

– Pani żartuje?

– Wcale nie.

– Gdzież jest właściwie?

– W ministerium marynarki.

– Oh! Jakoś długo tam bawi.

– Niech pan pamięta, że dzisiaj nadejść ma poczta z Indyi. Depesze oczekiwane są może w tej chwili w rękach ministra i, jeżeli przyniosą oficjalną wiadomość o śmierci tego Bonnet'a z Indyi, to baronowi może niespodziewanie spaść z nieba majątek milionowy. Zrozumie pan, że nad tem zastanowić się i poświęcić trochę czasu warto!

Pułkownik nie odpowiedział zaraz na te słowa; czoło jego zachmurzyło się nagle, a w oczach przebiegł błysk niespokojny. Ale trwało to tylko kilka sekund zaledwie i prawie natychmiast twarz jego przybrała dawny, pogodny wyraz.

– A zresztą, co nas to wszystko obchodzić może! – rzekł ze swobodną obojętnością – Te miliony z sukcesji pana Bonnet przybędą za późno! No, pani Olivie, niech pani nie będzie dla mnie tak obojętną i nie doprowadza mnie do rozpaczki! Niech pani mi pozwoli powtórzyć raz jeszcze, że kocham panią, że dla pani gotów jestem przezwyciężyć wszystko i że jestem dosyć bogaty, aby rywalizować z problematycznymi milionami, oczekiwanymi z Indyi.

– Ah! Jakież pan nagłący! – wyrzekła łagodnie młoda kobieta, uwalniając się z uścisku rąk pułkownika.

– Niech się pani nie waha, pani Olivie...

– Czego pan żąda odemnie?